

# WIECZORY RODZANNE,

CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

## SKOCZEK AFRYKAŃSKI.

Zwierzątko, na naszym rysunku przedstawione, taki ma dziwny skład ciała, że wygląda, według słów pewnego przyrodnika, jak gdyby było złożone z oderwanych części kilku rozmaitych zwierząt. Można by naprzykład powiedzieć, że skoczek ma

widzicie na rysunku, skoczek ma przednie łapki tak króciutkie, że je prawie całkowicie schować może w sierści i stojąc na wysokich tylnych nogach, wygląda, jak ptak. Przypomina też ptaki nadzwyczajną lekkością i zwinnością ruchów; gdy pomyka po rozległej równinie, najszybszy koń nie jest w stanie go doścignąć; bo też trzeba wie-



Skoczek afrykański.

głowę zajęcia, wąsy wiewiórki, tułów i przednie łapki myszy, tylne nogi ptaka i ogon lwa.

Sierść skoczka, biaława na podgardlu i brzuchu, na zwierzchniej części ciała jest płowa, prawie takiej barwy, jak piasek pustyni, na której zwykle przebywa. To też, gdy zwierzątko przykucnie na ziemi, trudno je spostrzedz zdaleka. Jak

dzieć, że kości tylnej części ciała skoczka są wydrażnione i powietrzem wypełnione, tak samo, jak u ptaków.

Zwierzątko to grzebie sobie głębokie nory podziemne o licznych rozgałęzieniach, gdzie się ukrywa, jak tylko szelest najmniejszy posłyszysz, a słuch ma wyborny i wzrok także niezmiernie



bystry. Skoczki żywią się tylko roślinnymi pokarmami i niewiele bardzo potrzebują, to też mogą się utrzymać w najdzikszych pustyniach, gdzie ledwo gdzieniegdzie ździebełko suchej trawki porasta. Arabowie polują na nie zawzięcie dla mięsa, które ma być dość smaczne; dobierają się zwykle do podziemnego ich mieszkania i ztamtąd je przemocą wyplaszają.

Przyrodnik Brehm trzymał skoczki w swoim mieszkaniu, chcąc zbliżyć przysiężkę się ich obyczajom. Wielką z nich miał uciechę, bo zwierzątka te są łagodne, pieścizotliwe, łatwo je zadowolnić chlebem, ziarnem, mlekiem i owocami. Skoczek jest jednak takim samym szkodnikiem, jak wiewiórka, gryzie wszystko, na co tylko natrafi, a w ścianach wygrzebuje dziury. Zwierzęta te należą do rzędu gryzących, tak samo, jak króliki, wiewiórki, zające, szczury; mają też zęby tak urządzone, że ustawicznie ścierać je muszą na końcach, inaczej bowiem zęby te wyrastają nadmiernie i wtenczas niezdatne są do gryzienia, a zwierzątko może z głodu zginąć.

Skoczki są bardzo rozpowszechnione w całej Afryce wschodnio-północnej. Odmienny nieco gatunek, mający ogon cały kiściasty, żyje w Afryce południowej, a inny pojawia się i w Europie na stepach północnej Rosji.

## STARUSZEK.

Już ciężkie lat brzemię schyla mnie ku ziemi,  
A przeszłość spogląda oczyma krwawemi,  
Bo nie wiem, gdzie dla mnie usłane jest łożo,  
Gdzie spoczną snem wiecznym i głowę mą złożę.

\* \* \*

Czyja dłoń życzliwa zaciśnie mi oczy,  
Kiedy już ich światłość noc wieczna zamroczy,  
Kto cichą mogiłę usypie na grobie,  
Kto jeden choć dzionek przechodzi w żałobie.

\* \* \*

Co miałem drogiego na świata obszarze,  
To wszystko już ziemią pokryli grabarze,  
I głuche dokoła panuje milczenie,  
Przerywa je tylko me gorzkie westchnienie.

\* \* \*

Dzisiaj jako liść zeschnięty sam jestem na świecie,  
Którym to w pustyni zbłąkany wiatr miecie,  
Bo równie mną burza szalona pomiata,  
I nic mi już dzisiaj nie wiąże do świata.

\* \* \*

Tu niema już piersi, coby mnie ogrzała,  
I dłoni przyjaznej, by niemoc wspierała,  
I wsparcie przyniosła nękanej już sile.  
I ktoby rozjaśnił ostatnie me chwile.

\* \* \*

Pies chyba mój wierny, skurczony latami,  
Wiedziony przecuciem przybiegnie czasami,  
I kiedy pomroka już ziemię okryje.  
Z bolesną tęsknotą na grobie zawyje.

\* \* \*

Ale Ty, o Panie! Tyś zawsze jest zemną,  
I wkrótce mi w światłość przemienisz noc ciemną.  
I z wiarą, nadzieją, spokojem sumienia,  
Ja wówczas pośpieszę do bramy zbawienia!

Ignacy Stopcański.

## W SERCU DZIEWCZĘCIA.

Opowiadanie z życia.

Północ się zbliża. W obszernym sypialnym pokoju, z głową wspartą na rękę, czuwa młodzieńca, ledwie czternastoletnia dziewczeczka. Dwa dni temu telegramem wezwano ją z pensyi smutną wieścią, iż ojciec bardzo chory. Przybyła jaknajspieszniej, ale choroba przybrała tak groźny charakter, że ojciec jej nie poznał. Czy kiedy jeszcze z miłością wymówi jej imię, pieścizotą obdarzy swą jedynaczkę? Bóg to wie jeden, lekarze frasobliwie kiwiają głowami. Dziś dziewiąty dzień gorączki, dziś ma nastąpić stanowcze przesilenie. Anusia skłoniła sędziwą ciotkę, aby się udała na spoczynek, a sama postanowiła noc całą przesiedzieć u łoża ukochanego chorego. Od godziny ojciec zasnął; z początku był to sen przerywany tłumionemi jękami, teraz lżej oddycha.

Na dworze szaleje śnieżna zawieja, godziny, niby wieczność cała, wloką się leniwie...

Anusia otuliła się miękkim szalem, przyłożyła parę drewniek do komina i wzięła książkę do ręki. Lecz myśl jej stroskana błądzi uparcie pośród wspomnień lat dziecinnych, paluszki dziewczęcia nie przewracają kartek książki. Wzrok jej padł na zawieszony w półcieniu portret zmarłej przed 10 laty matki; lecz taką, jak na portrecie, dziewczę jej nie pamięta. Pierwszy i ostatni raz zda się jej widziała matkę bardzo bladą, w białej długiej szacie, wszyscy dokoła płakali, ona najprzód dziwiła się temu, dla czego płaczą, kiedy mama taka spokojna, nie jęczy, ładnie ubrana; a nie otrzymując od nikogo odpowiedzi, sama płaczem wybuchnęła...

Potem przypomina sobie liczny szereg bon



i guwernantek, zmieniających się tak często, że nawet połowy z nich imion nie pamięta. To znów widzi gniewną twarz ojca, nareszcie staje ję przed oczyma wyjazd na pensją przed czterema laty... Ojciec o matce rzadko z nią rozmawiał, tłómacząc się, że to była święta istota, której wartości małe dziecko ocenić nie jest w stanie... Tyle lat upłynęło od chwili ję śmierci, a żaden sprzęt nie był ruszony z miejsca, które skrzętna ręka gospodyni mu przeznaczyła.

Nic się nie zmieniło, tylko ojciec, który dawniej na wszystko ję pozwalał, teraz o każdą rzecz się gniewa i zrzędzi. Oddał ją z domu, choć ona tego nie chciała.

Ach! jak bardzo dziewczę pragnęło wy dostać się z pensyi, gdzie nauczycielki takie nudne kazania prawie lubią, koleżanki się sprzeczą w tedy właśnie najbardziej, kiedy ona ma największą słusność. Zresztą żadna z nich nie zajmie kiedyś na świecie tak wysokiego stanowiska, jak ona. Dla czegoż zatem ma ustępować tym, które pod każdym względem niżej od nię stoją?

Anusia z pewną dumą spojrzała na bogate sprzęty i kobierce, zdobiące pokoje. Na pysznem staroświeckim biurku leżały papiery rozrzucone. Anusia, obawiając się, by pośród ogólnego zamieszania nie zaginęły, otworzyła szufladę i chciała je schować. Na widok jednak tego, co na dnie ujrzała, papiery wypadły ję z ręki... Był tam mały dziecinny czepeczek z niebieską wstążeczką, para przydeptanych pantofelków, pukiel jasnych włosów, zepsuta zabawka, nareszcie gruby kajet, wstążką związany. Wszystko to leżało starannie ułożone.

Więc ten ojciec, którego tylokrotnie o objętność posądzała, chował, jakby najdroższe pamiątki, drobiazgi, pochodzące z ję dziecinnych lat!

Anusia, obejrawszy pobożnie te ubożuchne skarby, skwapliwie wzięła kajet do ręki, domyślając się, że to być musi ów dziennik ręką matki pisany, o którym od ojca słyszała niejednokrotnie. Mimowolnie serce i ręka ję drżały na widok pisma wyblakłego przez czas. Ojciec obiecał dać ję ten dziennik do przeczytania, jak tylko będzie w stanie go zrozumieć. Ona czuła, że pora ta już nadeszła. Ucałowawszy więc ze czcią pismo matki, Anusia czytać zaczęła:

„8 Maja. Dziś córeczka moja rok skończyła, a jaka silna, zdrowa, od dwóch miesięcy sama biega, pierwsze trzewiczki zniszczone ję stopkami chowam na pamiątkę. Patrząc na swobodnie igrającą dziecinę, mimowolnie zadaję sobie pytanie, czy zawsze taka wiosna cicha i piękna w ciągu ję życia trwać będzie, jak dziś w jego zaraniu? Czy uroda, którą zda się, że będzie ję udziałem, zapewni ję szczęście?

Czy te różowe usteczka, które w tęg chwili do mnie rozkosznie się uśmiechają, nie splamią się nigdy kłamstwem, nie wykrzywią dumą?

Tyle pytań niespokojnych ciśnie mi się do głowy; kto mi na nie odpowie?

Czy Bóg dobry pozwoli mi czuwać nad mem dziećciem? Wyrok lekarza straszny, ale ja się pocieszam nadzieją... wszak młodość ma swoje prawa... Ja tak pragnę... potrzebuję żyć... a Bóg miłosierny!...

Lubiłam taniec, dalekie przechadzki, jazdę konną, dziś wszystkiego się wyrzekam, aby przeskodzić rozwojowi choroby serca, którą mi grożą. Wszystkiego!... oprócz jedynę rozkoszy, noszenia na ręku męj dziecinki... bo temu wierzyć niepodobna, by taki lekki i miły ciężar miał mi zaszkodzić. Malutka moja śmieje się w tęg chwili tak rozkosznie do białego baranka, że rzucam pióro, by ją uściskać i z nią razem białą bazią się pobawić.

8 Maja. Dziś po raz drugi, a zapewne i ostatni obchodzę urodziny męj Anulki. Niestety! lekarze się nie mylili, młodość nie zdoła mnie ocalić. Mam dopięro lat dwadzieścia trzy, dobrego i kochającego męza, śliczną dziecinę, wszystko zatem, co zapewnia szczęście w życiu, a to życie uparcie odemnie ucieka!

Boże, przebacz mi! lecz bez szemrania tak straszemu wyrokowi poddać się trudno. Dzieweczka moja szczebioce wesoło, jak skowronek, od rana do wieczora. Ona też tylko czasem uśmiech sprwadza na smutną twarz ojca, a moje biedne serce tęg większém przeszywa bólem, bo wszak niedługo już cieszyć się będę ję lubym szczebiotem.

Lecz nie zawsze się śmieje moja dziecinka, mimo, że tak młodziutka, ma swój upрек i kiedy czego żąda, a nie dostanie, tupie nóżką i krzyczy przeraźliwie. Gdybym żyła, starałabym się tęg wadę w nię wykorzenić. Czy jednak znajdzie się ktoś, co potrafi ję upór i gwałtowny charakter ułagodzić? Czy też może nieumiejętném postępowaniem powiększy te tak szkooliwe dla kobiety wady? Aneczko moja, jeśli kiedy te słowa, ręką umierającęj matki kreślone, czytać będziesz, pamiętaj, że uległość i cierpliwość to najważniejsze i najniezbędniejsze warunki do szczęścia kobiety w życiu rodzinném, do którego każda z nas jest przeznaczona.

Wczoraj dziecinka moja zapiakała, wtém piastunka dała ję do rączek dzwonek błyszczący i wnet śmiech i „daj daj” rozległo się po pokoju. Czyżby miała mieć zamiłowanie do błyskotek, być prózną?

Boże mój, dla czego wobec tak wielkich obo-



wiązków nie chcesz mi życia przedłużyć? Czyżbym nie umiała ich godnie spełnić!

Kilka razy już brałam pióro do ręki, to znów je kładłam, nie mogąc długo pisać; ale myśl, że to może ostatnia w życiu sposobność zajęcia się moją biedną sierotką, dodaje mi siły.

Nie pragnę dla mojej córki ani zbyt świetnych zdolności, ani talentów nadzwyczajnych, chcę tylko, by była dobrą córką, zacną i uczciwą kobietą. Gdybym miała to moralne przekonanie, iż tak będzie, zdaje mi się, że spokojniebym umierała!”

To były ostatnie słowa, ręką zmarłej matki skreślone... po nich parę kartek pustych; na trzeciej dopiero Anusia poznała pismo swego ojca.

„8 Maja. Już cię niéma, aniele opiekunicy mego życia. Osierociłaś nas nielitościwie. Pozostała mi jedyna pamiątka krótkich chwil szczęścia, sierotka nasza biedna.

Zerwałem wszystkie znajomości, żeby jak najwięcej czasu jęj poświęcić. Godzinami całemi siedzę z nią pośród zabawek, posłuszny jęj skieniom, chcąc jęj wynagrodzić choć w części stratę, którą poniosła.

8 Maja. Dziś rok czwarty skończyła córeczka nasza, zdrowo się chowa, słiczna, istny obraz matki; czy jednak i pod względem charakteru tak podobną będzie, nieraz wątpić zaczynam; jęj upór, zamiast się zmiejszać, coraz groźniejsze przybiera rozmiary. Za najmniejszym sprzeciwieniem się tupie nóżką gniewnie mała despotka.

8 Maja. Przyjąłem bonę do męj dziecinki, sędziwą ciotkę bowiem tak tyranizuje pieszczotka, że musiałem obcęj porocy i opieki dla nięj szukać. Pani Darowska jest to osoba doświadczona, niezmiernie łagodna i pobłażliwa. Szczęśliwy jestem z takiego wyboru.

8 Maja. Znowu rok minął, przeszedł szybko, ale niestety! niewiele mi przyniósł pociechy. Dzieweczka moja bardzo mi chorowała, dziś już wróciła do sił i zdrowia, ale też i do kaprysów, boję się bowiem inném mianem jęj gniewy i dasy określić. Pani Darowska narzeka na jęj gwałtowny, niepowściągliwy charakter i upór niczém nie złamany, ale ja ją staram się przekonać, że te wady kiedy przeminą.

8 Maja. Smutno mi bardzo w dniu dzisiejszym. Może zbytnią pobłażliwością sam przyczyniłem się do tego, że Anusia jest krnąbrną, despotyczną i złośliwą. A jednak chęci miałem jaknajlepsze. Oprócz zajęć obowiązkowych, niczemu innemu czasu nie poświęcałem, jak tylko jęj wychowaniu, a raczej psuciu, jak się dziś okazało. Niezliczony poczet bon przesunął się przez ten czas w moim domu. Nie były to osoby złęj woli i nieuczolnione, ale niechcące ulegać kaprysom

dzieciaka, których zbyt słaby ojciec poskromić nie umiał. Pomimo danego przyrzeczenia męj żonie, zmuszony jestem ją oddać na pensyę, może tam, pośród obcych ludzi, którzy jęj ulegać nie będą, a taki mój pierwszy, dla jęj własnego dobra, musi być warunek, zmieni się.

8 Maja. Anusia pilnością swoją zadawalnia w zupełności nauczycieli, na jęj sprawowanie jednak uskarża się przełożona i towarzyski. Nikomu nie ustępując, swoją zawsze chce mieć wolę. Tak brzmiał list ostatni nauczycielki, pod której wyłączną opiekę córkę moję oddałem. Z tęj to przyczyny, mimo, że serce moje rwało się w dniu dzisiejszym do nięj, nie pojechałem, rozum mnie wstrzymuje; list tylko wysłałem, dając jęj do zrozumienia, co było przyczyną, iż jęj urodzin nie powinszowałem. Może to choć w części wpłynie na jęj poprawę.

8 Maja. Smutny, bardzo smutny list odebrałem dzisiaj. Anusia, nie pomna rad moich ani prób, w uniesieniu gniewu młodszą od siebie dziewczynkę uderzyła w twarz za to, że nie chciała w zabawie być jęj sługą. Teraz dopiero poznaję, jak bardzo źle czyniłem, nie słuchając rozsądnych uwag pani Darowskiej. Ale czyż mogłem przypuszczać, aby dziewczeczka jedenastoletnia tak złą i nieprzyzwoitą być mogła? Pierwszy to raz od śmierci ukochanej męj żony łzami się zalałem. Jakaż smutna przyszłość ją czeka, jeśli się nie zmieni! Dziś koleżanki od nięj stronią, kiedyś, gdy dorośnie, o przyjaciół trudno jęj będzie.

8 Maja. Gdyby dzieci potrafiły odczuć przykrość, jakięj doznają rodzice, gdy je karać muszą, z pewnością rzadzięjby na to zasługiwały.

Dowiedziawszy się, że Anusia pyszni się pięknemi sukienkami i klejnocikami, wszystkie jęj odebrać kazałem, obiecując, że je wtedy znów napowrót otrzyma, gdy zrozumie, jak małej są wartości i jak śmiesznie jest chwalić się niemi. Gdyby była mnie poprosiła o przebaczenie, kto wie, czy ulegając męj słabości dla nięj, nie odstąpiłbym od postanowienia. Ona, odąwszy dumnie usta, spojrziała na sporą paczkę, którą zabierałem: „mniejsza o to” powiedziała. Przy wyjeździe moim jednak nie ukazała się, wymawiając się bólem głowy, a jednę z koleżanek powiedziała, że kiedy ojciec z nią się tak nieludzko obchodzi, widocznie jęj nie kocha i bez pożegnania obejść się może.

Pojechałem zatem, nie widząc jęj, z sercem zakrwawioném niewdzięcznością dziecka, które nad wszystko ukochałem i dla którego wszystko poświęciłem. Anusiu, tyś chyba się nie zastanowiła, jak boleśnie zraniłaś serce ojca i zasmuciłaś duszę matki!

8 Maja. Znowu skargi na moje nieszczęśliwe



dziecie! Nazywam ją nieszczęśliwą, bo doprawdy, czyż może ktoś więcej być pożałowania godnym, jak córka, chowana bez matki. A jednak, Anusiu moja, gdybyś chciała, ileż to nocy bezsennych i przykrości oszczędziłabyś ojcu swemu! To, żeś zdolna, ładna i bogata, nie jest bynajmniej twoją zasługą. W jednej chwili możesz te dary utracić, a wtedy, cóż ci pozostanie, skoro tak mało o kształceniu serca i charakteru myślisz? Po raz ostatni dziś piszę w tym dzienniku; postanowiłem sobie, że dopóki Anusia się nie poprawi i nie przestanie mnie tak ciężko martwić, pisać o niej nie będę“...

Coś, jak gdyby ślad łzy, kończyło te smutne zwierzenia ojca, Anusia dojrzeć nie mogła, bo i jej oczy były łez pełne.

A więc tak bardzo winną była?... Dotąd nigdy jej to na myśl nie przychodziło. Uwagi starszych i przestrogi za zwykłe nudne perory uważała... Dopiero w tej chwili, czytając skargi tylokrotnie obrażonego ojca, poczuła całą okropność swego dotychczasowego postępowania. Za tyle dobroci i miłości, jakże niewdzięczną i złą tyle razy się okazywała, zamiast być radością i pociechą tak dobrego ojca!...

Od dziś jednak z pewnością wszystko zmienić się musi. A najprzód przeprosi ciotkę sędziwą, której i teraz niedelikatnie dała do zrozumienia, że nie ona tu jest panią domu. Potem tak staranną i troskliwą opieką otoczy ojca, tak mu będzie posłuszną i uległą, że jej przebaczy i zapomni doznanych z jej winy przykrości.

A gdyby ten kochający i pobłażliwy ojciec miał umrzeć, nie przekonawszy się o jej żalu i poprawie? Rozpacz w sercu dziewczęcia na tę myśl powstała.

Cicho, ostrożnie podeszła Anusia do łoża chorego. Spał spokojnie, oddychał zwolna.. Z dziękczynną modlitwą na ustach, dziewczeczka padła na kolana i ukrywając głowę w dłoniach, długo bardzo i rzewnie się modliła.

A duch matki, ciesząc się taką jej skruchą i żalem, uprosił u Boga życie ojca i wytrwałność dla szlachetnych postanowień córki...

Śnieżna zawieja ustała na dworze... księżyc wypłynął na szafirowe niebios sklepienie i łagodnym światłem oblał ziemię... Zda się w przyrodzie całej nastąpiło przesilenie... i spokój, tak — jak w sercu modlącej się dziewczeczki.

Marya Ciświcka.

## GWIAZDKA WĘGIERSKA.

POWIEŚĆ

z czasów rycerskich

przez

M. a.

(Dalszy ciąg).

Zaledwo też książę wzbronił stanowczo dalszej walki z Tannenburgiem, wnet znikło białe pióro z pomiędzy giermków i prawie natychmiast książę Ludwik na swoim pięknym białym rumaku własnego chowu ukazał się w bramie szranek, od strony namiotu wyzywających. Powitał go radosny okrzyk tłumów, zalegających górę zamkową, przywiązanych do dobrego władcy i jego rodziny. Młody książę podziękował wszystkim wdzięcznym rycerskim ukłonem i z kopią w ręce skierował rumaka ku najwyższemu wzniesieniu, gdzie siedziała królowa i księżne. A wtém stała się rzecz zarówno niespodziana, jak dziwna i niemiła, niepojęta nawet prawie: oto biały rumak, przywykły jak pies do ręki swego młodego pana, nagle wymówił mu posłuszeństwa i mimo oporu, uniósł go na przeciwną stronę szranek. Tuż pod górą zamkową, to jest najdalej właśnie od wzniesienia, zajętego przez książęce niewiasty, zatrzymał się dopiero książę. Równocześnie wybiegający chyżo z przeciwległej bramy młody książę, krewny cesarza, sądząc, że przeciwnik chce go podejść jakimś fortelem, tak nagle w bok się rzucając, skoczył także wprost na niego. Ludwik odparł cios bardzo zręcznie i walka rozpoczęła się natychmiast, zakończona świetnym Księcia Ludwika zwycięstwem. A potem zwyciężył jeszcze Ludwik drugiego przeciwnika i wówczas dopiero innym walczącym boju ustąpił. Lud wydał okrzyki wielkiej radości, rzucił kwiaty na młodego zwyciężającego pana, a wkrótce potem już wedle zapowiedzianego porządku walczyli inni młodzieńcy.

Ale przez cały ten czas księstwo, i ich rodzina, i dwór, i przyjaciele, nie zdołali jeszcze ochłoniąć z niewypowiedzianej trwogi, jakiej doznali, przy pierwszym w życiu wstępie księcia Ludwika w szranki. To dziwne znarowienie się konia zaczęto już nawet uznawać jako złą wróżbę dla całej rycerskiej księcia przyszłości. Nikt nie mógł pojąć takiej niezręczności chwilowej młodzieńca, ćwiczonego już w takich obrotach, rodzice, siostry i rycerscy nauczyciele najmniej wypadek ten mogli zrozumieć, ponieważ dzielność Ludwika znali najlepiej. Nie takiego to wstępu na drugi stopień



rycerstwa spodziewano się po Ludwiku turyngskim. A wtém, gdy wszyscy jak powarzeni starali się coprędzej zbyć już resztę uroczystości, gdy pośpiesznie ogłaszali heroldowie zwyciężcą Franca Taunenburga, uszczęśliwionego doskonałą zbroją, gdy panie, zaledwie tłumiąc łzy, miały już powstać z miejsc swoich, nagle i niespodzianie zabrzmiała potężna a nieznaną trąbą. Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę. Ujrzano niezwykłą rzecz. Od pól z poza Eisenach przybywał obcy jakiś giermek, na przepysznym, ognistym, karéj maści rumaku, i sam w czarną od stóp do głowy barwę ubrany. Jako giermek, nie miał on jeszcze zbroi całkowitej na sobie, ale te jéj części, które wolno już giermkom nosić i broń były tak piękne i tak zręcznie noszone, jak rzadko widzieć można było. Przytém, co najdziwniejsza, giermek ten miał hełm i przyłbicę spuszczoną, jak się to godziło tylko rycerzom. Poprzedzał go herold ogromny, także na karym koniu i cały czarno ubrany, nieznanany nikomu w okolicy, i on to jadąc uderzał w trąbę potężną. Taki niezwykły wstęp giermka, właściwy tylko rycerzom, i ta spuszczone przyłbica, niestosowna wcale dla giermka, sprzeciwiały się przepisom i zwyczajom rycerskim tak bardzo, że w pierwszej chwili wszyscy się zdumieli i starzy nawet rycerze nie wiedzieli, co czynić wypadnie, zarówno jak marszałek turniejów, który przecież natychmiast ze szranek naprzeciw dziwnego gościa wyjechał.

Trzeba i o tém pamiętać, że uroczystość owa była niezwykłą, że dla uświetnienia jéj cesarz, jakkolwiek nie przybył osobiście, przecież przysłał kilku swych młodych krewnych, sam zaś istotnie dla tego tylko nie zjechał, że był gwałtownie zajęty sprawami kraju. Otóż niejednemu z panów obecnych przyszło na myśl, czy nie sam to cesarz Fryderyk Barbarossa przybywa w ten dziwny, w pół żartobliwy sposób, niby jako giermek na uroczystość giermków, aby tą niespodzianką uświetnić wstąpienie młodego księcia Ludwika na stopień giermka, a zjednać sobie przychylność jego ojca, potężnego swego krewniaka.

Gdy tak wszyscy z natężeniem oczekują, co dalej będzie, marszałek turniejów zbliżył się do tajemniczego gościa i rozmawiał z nim przez chwilę, poczem widziano, jak zapraszał go do gościnnego namiotu, za co gość podziękował, i wskazał zniżające się już słońce. Zatem marszałek wprowadził go w szranki i pozostawiając przy gościnném wejściu, sam podstąpił żywo ku księciu i rycerzom, oznajmiając, że obcy giermek, sprawiwszy mu się ze swéj szlacheckiej godności, i rzeczywistego posiadania drugiego stopnia rycerskich zaszczytów i z pewnych ważnych innych jeszcze

okoliczności, prosi szlacheznego księcia o pozwolenie walczenia w szrankach, wbrew zwyczajom giermków, z przyłbicą spuszczoną, która jest... papierowa!

Na takie oznajmienie milczano przez chwilę, potem rozśmiano się i książę zezwolił na prośbę gościa. Wyglądało to coraz bardziej na żart jakiś, a żartownis, im bliżej, tém bardziej wyglądał na coś niepospolitego. Przyjętoby go nawet ochotczo, gdyby nie to, co zaszło poprzednio, i co nie usposabiało obecnych do wesołości. To, co nastąpiło, przyczyniło się jeszcze do zasmucenia patrzących, bo nieznamy okazał się takim właśnie, jakim siostry i matka marzyły, że Ludwik ukaże się przy tym pierwszym w rycerskie szranki występie. Nieznamy stał nieruchomy wraz ze swym ognistym rumakiem tak, jakby obaj z czarnego byli wykuci marmuru, dopóki marszałek nie wrócił do niego z odpowiedzią książęcą \*). Otrzymawszy żądane pozwolenie, gość spojrzął na swego herolda, który też natychmiast wystąpił w środek szranek i ogłosił uroczystie, że pan jego, Papierowa-przyłbica, wyzywa do walki na wszelką broń wszystkich tych, którzy odznaczyli się w dzisiejszych zapasach giermków.

Było to śmiałe wyzwanie, gdyż przedewszystkiem znaczyło, że nieznamy porywa się na niezwycięzonego dotąd bohatera między giermkami, na Tannenburga. Natychmiast wystąpili też i stanęli rzędem w końcu szranek wszyscy dziś odznaczeni, z Tannenburgiem na czele i z księciem Ludwikiem wmięszanym wśród rówieśników. Patrząc na to, wdychali ciężko rodzice i siostry, bo choć nie żądano nigdy, aby młody czternastoletni Ludwik miał zwalczać takich Tannenburgów, to przecież wszyscy pewni byli, że on się przecież lepiej jakoś odznaczyć potrafi. Następnie marszałek turniejów z rozkazu księcia namawiał gościa, aby walczył odrazu z głównym zwyciężcą, to jest z Tannenburgiem, a to dla tego, aby z najsilniejszym mierzył się gość przy najświeższych siłach. Książę tak kazał powiedzieć, bo z wątpliwym uśmiechem jakoś spoglądał on na dosyć szczupłą postać gościa. Ten jednak odpowiedział bez wyniosłości i bez zarozumiałości, ale z nieugiętym w głosie postanowieniem, że porządek walki pozostawia losowi. Ciągnięto więc losy i wypadło, że Tannenburg miał być trzecim do walki, a pierwszym właśnie dzielny Armand.

Podczas tych wszystkich przygotowań, niezna-

\*) Takie tajemnicze występy na turniejach prawdziwych rycerzy często się zdarzały dla ważnych przyczyn, ale jak tutaj, musiał sprawić się gość marszałkowi, aby niegodny nie wdął się w rycerskie szranki.



jomy Papierowa-przyłbica stał ciągle, jak posąg marmurowy, choć bystry rumak drgał pod nim chwilami wyraźnie, zzymając się na tę przymusową nieruchomość, ale nie poruszył się, bo czuł widocznie, kto wodze trzyma. Następnie nieznamy skierował rumaka w stronę, w której na wzniesieniu siedziały księżne i królowna, i ruszył wreszcie z miejsca od bramy, gdzie dotąd zdawał się wrośnięty.

Wszyscy na chwilę zapomnieli o walce samęj, patrząc na nadzwyczajną sztukę i wdzięk, z jakimi Papierowa-przyłbica zażywał ognistego rumaka. W sztucznych krótkich podskokach podjechał on najprzód do stóp balkonu, zajętego przez panie, i pełnym wdzięku potrójnym ukłonem i kopii skłonieniem powitał najprzód królownę węgierską, potem księżnę turyngską, potem księżnę Agnieszkę wraz z innymi znakomitami paniami. Następnie zawrócił kilka kroków do miejsca, zajętego przez księcia i rycerzy, które wprzód ominął, aby pierwszeństwo dać paniom. Ale wracał niesłychanym sposobem, bo zmuszając rumaka znowu do skoków w tył, poczem koń prawie za każdym krokiem stawał dęba, a każdy taki krok na szwankby mógł wystawić życie mniej doskonałego jeźdźca. To też po chwilowém milczeniu, nagły grom oklasków i okrzyków odpowiedział na ukłon pełen głębokiego uszanowania, jaki Papierowa-przyłbica składał księciu Turyngskiemu, stanąwszy przed nim. Sam książę nie mógł się powstrzymać od okrzyku uwielbienia, a potem boleśnie spojrział w odległą stronę szranek, gdzie książę Ludwik ze swem białem piórem kryć się zdawał wśród rówieśników. Od tej chwili wszyscy przestali już podejrywać cesarza w tajemniczym gościu, bo acz dzielnym jeźdźcem był cesarz, to przecież do takich sprawek potrzeba było młodzieńczej zęczności, której cesarz nie mógł posiadać.

Tak objechawszy szranki w około z nadzwyczajnym wdziękiem i zęcznością, przy okrzykach zachwyconych widzów, Papierowa-przyłbica stanął znów na dawném miejscu, gdzie naprzeciw niego wystąpił dzielny Armand. Ten, korzystając z wolności wyboru broni, wybrał był miecz, którego był tak pewnym, że nawet sam Tannenburg na miecze nie zawsze go zwyciężał. A przecież miecz ów po kilkuminutowej walce wyskoczył w górę i padł o kilka kroków, wytrącony z trzymającej go ręki. Do tego spotkania obaj walczący zeskończyli z koni, a starzy, znający się na rzeczy rycerze, odrazu po pierwszém mieczów złożeniu wyrzekli, że Armand trudną będzie miał sprawę, choć widoczném już teraz było, iż nieznamy musiał być bardzo młodym \*).

Widząc, co się stało z mieczem Armanda, giermkowie z podziwem zaczęli na nieznanomego spoglądać. On, nie tracąc czasu, wskoczył lekko na swego rumaka i stanął w pogotowiu do nowęj walki z owym młodym krewnym cesarskim, którego los przeciw niemu postawił. Skwapliwie podał kopią swoją marszałkowi, który się zbliżył, aby obejrzeć, czy zaopatrzona dostatecznie w miękką, dużą gałkę skórzaną, aby cios nie mógł być szkodliwym dla nieuzbrojonych piersi giermków. Książę Herman surowo nakazywał pilnować tego u siebie na tych młodzieńczych rycerskich zabawach. Marszałek tylko ręką machnął na kopią nieznanomego, zaopatrzoną jak najstaranniej, i z uszanowaniem mu ją oddał. Krewniak cesarski wybrał walkę konno i na kopie, wedle rycerskiego obyczaju. Zaopatrzenie włóczni zastępowało brak zbroi u walczących. Książę Herman w podobnych razach nakazywał zachowywać wszelkie zresztą względy i zwyczaje rycerskie, aby do nich przyzwyczajać nie tylko młodzieńców ale i ich wierzchowce. Więc, jakby na prawdziwych turniejach, zagrzmiały trąby potężne na znak dany przez marszałka, i dwaj przeciwnicy, ustawieni przy dwóch bramach, na dwóch końcach szranek, puścili się pędem ku sobie z nastawionemi do ciosu kopiami. Ale niestety, były to kopie umyślnie do podobnych walk dla giermków powszechnie wyrabiane, a więc kruchsze i słabsze tak, jak i wszelka broń giermków, od prawdziwej rycerskiej, to też obie skruszyły się w drobne kawałki na puklerzach przeciwników, a oni z rozpędu potężnego przebiegli każdy aż na przeciwną stronę szranek; że zaś poza bramą, ku której pędził Papierowa-przyłbica, było cokolwiek wolnego miejsca, jako w najdalejszym, a więc najmniej dogodnym do patrzenia punkcie, przeto nieznamy, niby z mimowolnego rozpędu, przesadził kouno tę bramę, i natychmiast, obracając się w miejscu, wskoczył tak samo w szranki napowrót. Jeden ogromny okrzyk podziwu, wyrwany z wielotysięcznej piersi tłumu, był odpowiedzią na tę młodzieńczą swawolę, która mogła łatwo a niepotrzebnie życie kosztować. To też zerwał się natychmiast książę Herman i z gniewem pogroził zuchwałemu obcemu giermkowi, który zwolna tymczasem kłaniając się ludowi, powracał na swoje miejsce wśród grzmiących okrzyków.

wet wieku zdarzały się często w tych czasach i to nie tylko u mężów dojrzałych. Wiadomo, że na słynnej weselnej uczcie u Wierzyńka, gdy król Kazimierz W. wnuczkę swą za mąż wydawał, kazał on tej wnuczce, młodziutkiej panie, młodej, okazywać swą siłę, i paniątka w obec wszystkich łamała w paluszkach podkowy, związała szablíce w krążek jak liche wstążeczki, i wiele innych podobnych rzeczy czyniła

\*) Siła i zęczność szermierska w bardzo młodym na-



— To są rzeczy wzbronione! — zawołał natychmiast z rozkazu marszałka herold najpotężniejszym głosem, po poprzednim zatrąbieniu na ciszę.

Nieznamy ukłonił się zdaleka z uszanowaniem księciu, na znak, że będzie posłuszny jego woli, a spotkawszy się wśród szranek z powracającym także na swoje miejsce przeciwnikiem, rozmawiali przez krótką chwilę we trzech z marszałkiem. Wnet zwrócił się ten ostatni do księcia, oznajmiając, że dwaj młodzi zapaśnicy proszą o pozwolenie użycia mocnych kopij rycerskich, nie wyłamując się zresztą od zaopatrzenia ich przeciw niebezpieczeństwu. Książę spojrział po otaczających go rycerzach, kazał założyć podwójne krawężniki bezpieczeństwa na swoje własne potężne kopie, obejrzał je sam, dał do obejrzenia starym rycerzom, i kazał podać młodym junakom.

Wszyscy uważali, że książę był przytém dziwnie jakoś zamyślony i co chwila spoglądał to na Papierową-przyłbicę, to na białe pióro księcia Ludwika, migocące wśród tłumu giermków. Wziąwszy silne kopie w dłonie, dwaj giermkowie przeciwnicy stanęli znów na dwóch krańcach szranek, znowu trąby zagrzmiały, i oni obaj, nastawiając kopie, puścili się ku sobie z gwałtowniejszym jeszcze niż wprzód rozpędem. A wtém zerwał się z miejsca książę Herman i kilku conajdoświadczniejszych rycerzy, bo po nastawieniu kopij zawczasu odgadli oni niebezpieczny zamiar nieznanego gościa: godził on widocznie w czoło przeciwnika. Taki cios był jednym z najtrudniejszych w rycerskiej szermierce, ale gdy się udał, dawał odrazu zwycięstwo, bo rycerz spadał w tył strącony, jak od uderzenia obucha, jeżeli kopia nie pękła oczywiście. Ale co uchodziło przy stalowej przyłbicy, to śmiertelnem stać się mogło dla odkrytego czoła giermka, mimo nawet ochronnych krawężków na kopii. Dla tego, spostrzegłszy ów ruch swego gościa, zerwał się książę z miejsca, chcąc następstwu przeszkodzić; było już jednak za późno, a przecież zręczność mistrzowska i roztropność nieznanego tém świetniej się okazały, przekonano się bowiem, że jego zamierzony cios był tylko zręcznym podstępem, i gdy w stanowczej chwili uchylił się z lekka przeciwnik, czując dobrze niebezpieczeństwo, gość, zmieniając nagle ciosu kierunek, pchnął go tak silnie, acz nie szkodliwie, w mały puklerz jego, że krewniak cesarski padł jak długi na miękki piasek i przewrócił koźła spadając. Przyczyną zaś tego był głównie ów podstęp, bo krewniak cesarski właśnie przez owo uchylenie się od ciosu stracił równowagę i ułatwił przeciwnikowi wysadzenie się z siodła.

Nowe okrzyki widzów zagrzmiały w powietrzu,

Papierowa-przyłbica, klepiąc i głaszcząc piękną szyjkę rozczoconego swego rumaka, stawał już naprzeciw Tannenburga. Marszałek z rozkazu księcia poszedł ku niemu, prosząc, aby odpoczął, lub konia zmienił, ale gość podziękował, a tylko kopią przyjął inną, znowu mocną rycerską, bo poprzednia nadwierzona została, i walka rozpoczęła się przy natężonej wszystkich uwadze.

I otóż wszyscy się omylili. Oczekiwano teraz albowiem jakichś najpotężniejszych gościa wysiłków przeciw Goliatowi, a tymczasem wprost przeciwnie się stało: gość od początku żartować się tylko zdawał. Najprzód, pomimo mocy ich kopij, strzaskali je obydwaj sobie na piersiach potężnym ciosem i zaraz duży Franc zażądał pójść na miecze lub toporki. Nie zeskakując tedy z koni, rozpoczęli tę walkę i tu dopiero, oprócz siły, jakiej dał dowód w pierwszym z Francem spotkaniu, Papierowa-przyłbica okazał taką nadzwyczajną zręczność, o jakiej mało kto miał wyobrażenie. Przyszło do tego, że zapominając o niebezpieczeństwie walki, widzowie aż śmieli się głośno z coraz większą i widoczniejszą zaciekłością dużego Tannenburga i ze zgrabnych obrotów nieznanego. On nie tylko zimnej krwi nie tracił, ale zdawał się w istocie żartować z przeciwnika, zwijając się około niego nieledwie jakby zwijająca się zgrabna sarna około słonia, gdyby wbrew prawdopodobieństwu walka taka była możliwą. Rozjątrzony śmiechami widzów, Franc Tannenburg, zapominając zupełnie warunków takich walk młodzieńczych, zaczął nareszcie płać na ślepo, rzucając się zaciekle, jak rozjuszony zwierz i mimo całej zręczności gościa krew już ukazywać się zaczęła na jego ramieniu i piersiach. Pierwsza królowna Elżbieta spostrzegła to natychmiast, i księciu wskazała, i już biegł marszałek, aby rozdzielić walczących, gdy nieznanemu pękł miecz pod silnym razem olbrzyma; książę zerwał się z miejsca, widzowie jednogłośnie okrzykiem zażądali przerwania walki. Ale nieznamy, brakiem miecza i ślepą zaciekłością przeciwnika nie zmieszany, pochwyił toporek i tak silnie go nim ugodził, że Tannenburg zachwiany, usiłując utrzymać się na koniu, runął wraz z nim na piasek.

Oklaski, krzyki, rzucanie kwiatów z tłumu i ze strony szlachetnego towarzystwa, zapal ogólny dla dzielności nieznanego gościa, były tak wielkie, że nikt nigdy z najstarszych ludzi nie pamiętał, aby coś podobnego zdarzyło się na skromnych walkach giermków. Trąby zagrzmiały znowu, marszałek i rycerze otoczyli zwycięzcę i prowadzili go przed księcia, a książę rzekł:

— Giermku! szczęśliwy ojciec, który takiego, jak ty, ma syna. Kraj dzielnego będzie miał



z ciebie obrońcę. Na dzisiejszych turniejach giermków zwyciężyłeś zwycięzcę, słusznie należy ci się nagroda. Oto miecz mój, bo dzielny jnż jesteś, jak rycerz; ale odkryjże swoją przyłbicę, bo i najpierwsi rycerze podnoszą ją przecież po walce.

To mówiąc, książę Herman podawał młodzieńcowi miecz, bardzo bogato w drogie kamienie oprawny. Na to rzekł nieznajomy zwycięzca, ci-

wruszony jak ośniewywie, przypatrywał mu się ciekawie niezmiernie, aż nagle rzekł wesoło:

— Tamtego poszczerbionego miecza nie dam ci, giermku, bo on z prawa synowi memu w dziedzictwie po mnie się należy! A kiedy niezadowolony jesteś z mego podarku, to może sam jakiej nagrody rycerskiej sobie życzysz? mów.

— O tak! — zawołał giermek tajemniczy — niech królowa Elżbieta uwieńczy moje zwycięż-



Staruszek (str. 114).

chym, dziwnym jakimś, może umyślnie zmienionym głosem:

— O szlachetny książę! wdzięczny ci jestem serdecznie, ale dla czegoż dajesz mi miecz tak bogaty, który sam nosisz na uroczystości tylko; czyliż nie właściwszym dla biednego giermka byłby tamten codzienny, wyszczerbiony już na karkach nieprzyjaciół?

Książę, coraz bardziej zdziwiony i nawet

two tą zieloną koroną, którą ma na czarnych war-koczach, a będę najzaszczytniej nagrodzonym i przyłbicę podniosę natychmiast.

Wszyscy rycerze tłoczyli się naokoło gościa i z coraz większym patrzyli na niego zdziwieniem, bo i śmiały był niepospolicie i głos jego jakoś się znajomy niektórym wydawał. A książę Herman wesoło zawołał:

(D. c. n.).



## PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 24 Lutego roku 1668. Lat 20 upłynęło od czasu, jak Kazimierz Waza włożył koronę polską na skronie. Ciągłe napady nieprzyjaciół, ciągłe bunty w kraju zmęczyły nieszczęśliwego króla; słaby, znużony, smutny, nie czuł się na siłach dalej rządzić i rozkazywać; widział, iż naród potrzebuje młodszego, silniejszego pana, którego by nietylko kochał, lecz i bał się także, więc postanowił złożyć koronę i namówić panów, żeby sobie kogo innego obrali. Wezwał przeto panów i szlachtę na sejm, naznaczywszy zjazd na dzień 24 Lutego.

Na obszernych błoniach wsi Woli zbudowano z chrustu i gałęzi jodłowych wielką szopę, w niej ustawiono w okół ławy, w pośród tych ław, na wzniesieniu, szkarłatnym suknem przykrytym, krzesło z poręczami, które tron zastępować miało.

Wezwani panowie i szlachta stawili się według życzenia królewskiego na dzień naznaczony i wszyscy w szopie zasiedli, ciekawi, co król im powie. Już rozeszła się pogłoska po kraju o postanowieniu Jana Kazimierza, ale nikt w nią wierzyć nie chciał. Kiedy już wszyscy zebrali się w szopie, król powiódł w około smutnym wzrokiem, poczem podniósł się z tronu i przemówił do zgromadzonych:

„Znużony wiekiem i trudami wojen, przyciśnięty troskami lat dwudziestu, ja, król i ojciec wasz, składam to, co ludzie najwięcej cenią: koronę państwa tego, i w wasze ręce oddaję ją, Polacy. Poprzednicy moi oddawali berła synom, braciom, ja narodowi. Ja z pana stanę się teraz poddanym, z wodza szeregowcem, z króla współobywatelem, aby młodszemu, silniejszemu miejsca ustąpić, temu, którego naród wybierze i codzień modlić się będzie, aby ten wybór był szczęśliwym. A teraz dziękuję wam za usługi wasze, za dowody posłuszeństwa; jeśli w czem panowanie moje wam się nie podobało, wybaczcie proszę, jak ja przebaczam tym, co tego potrzebują. Żegnam was i każdego z osobna do serca przyciskam, błogosławiąc wszystkim”. Więcej mówić nie mógł, nie pozwoliły mu łzy, głośno łkać zaczął, rozplakali się wszyscy zebrani i cisnąć się poczęli do tronu, by ucałować raz ostatni rękę króla.

W niejednego sumieniu zbudziły się teraz wyrzuty, przypomnieli sobie panowie dzień, w którym zdradzili tego dobrego króla, dzień, w którym Karola Gustawa wpuścili do swoich zamków i panem go uznali, a wstydząc się teraz i żałując dawniejszego postępowania, nieśmiało przysunęli się do

tronu. Lecz Jan Kazimierz każdemu rękę do ucałowania podał i jak rzekł, przebaczył tym, co tego potrzebowali.

Pożegnawszy wszystkich, podpisał następnie dyplom abdykacyi, poczem opuścił zgromadzenie. W kilka dni później Jan Kazimierz wyjechał do Francyi.

Teresa Jadwiga.

## ZE WSPOMNIENIŃ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

### II.

Jakże mi się rozkosznie przedstawia Lublin w moich wspomnieniach! Bo też szczęśliwe przeżyłem tam chwile. Wspaniałe mury starego grodu ukochałem jak dzieciństwa mego kolebkę, jako skarbnicę dawnych pamiątek... jako miejsce, gdzie myśleć, pojmovać i czuć zacząłem, pojąc się dźwiękami rodzinnęj mowy, stąpając po ziemi ojczystej...

Ojciec przygotował nam mieszkanie w dużym piętrowym domu, położonym za miastem prawie, na Czechówce. Z jednej strony piękne zielone podwórko rozściełało dla nas miękkie kobierce, i kończyło się wspaniałych lip szeregiem, rosnących w sąsiednim ogrodzie, należącym do szpitala Ś-go Józefa; z drugiej strony domu mieliśmy sad owocowy, agrestu i porzeczek mnóstwo i grządek kilka, co naszym było gospodarstwem. Mieliśmy tam smaczne rzodkiewki, słodki groszek zielony, kruchą sałatkę i namiętne przez nas dzieci lubioną kukurydzę. Tatuś nam to wszystko zasażać kazał. Duży ganek, winem opleciony, był miejscem naszęj w południe zabawy.

Mieszkaliśmy na piętrze. Jakiż ztamtąd był widok! szczególnie, gdy zachodzące słońce oblało swemi blaskami owe moje lipy ukochane, strojąc je barw tysiącem. Od strony ogrodu chyba jeszcze piękniej było... kawałek zielonęj łąki, wązka rzeczulka, Ciechanówką zwana, kryje się w krzaków wierzby cieniu, dalej znowu łąka, wyniosłe wzgórze uprawne, na lewo lasek brzezina zwany, na prawo kościół i klasztor Jana Bożego, gdzie się znajduje szpital obłąkanych. Jak tam było szeroko, jak oddychać swobodnie wonném tych pól powietrzem! dziś jeszcze nieraz tęskno mi za tą przestrzenią, za tym cudnym widokiem...

Rok mieszkaliśmy w tym domu, rok, który przebywałem, nie myśląc jeszcze o książce... We Wrześniu przybył nam braciszek Oleś, w domu gwarniej się zrobiło; ze mną mama z trudem radzić sobie mogła, taki byłem żywy, jak iskra,



przytém złośnik i zawzięty. Niewiem dla czego Gambettą mnie wtenczas przezwano. Jak się uparłem, mogłem najstroższy ból wytrzymać bez jęku, bez skrzywienia się, zawsze mi się zdawało, że mama mniej mnie kocha, niż Zosię i Kazia, gdyż częściej od nich dostawałem napomnienia i to przekonanie budziło we mnie jakieś nieміłe uczucie zazdrości. Razu jednego stanąłem przed mamą i zacząłem, patrząc na nią z ukosa, kłuc sobie grubą igłą rękę do krwi. Sprawiało mi to jakąś niepocziwą przyjemność, że mogłem mamie tēm dokuczyć.

Gdy mama zawołała :

— Dziecko, przestań, poco się kaleczysz?

— Wszak mama mnie nie kocha — odpowiedziałem, tłumiąc łzy boleści i żalu.

Zeszło nam lato i jesień na wesołych na świeżem powietrzu igraszkach, w zimie więcej przebywaliśmy z mamą, coraz ciekawiej wsłuchując się w jej opowiadania, które stopniowo traciły charakter bajeczek, a coraz więcej budziły w nas zaciekawienie. Pomału świat dziecięcy naszych wyobrażeń rozszerzył się, chęć wiedzy rosła; tak uczyć się pragnąłem, tak chciałem się dowiedzieć, co w tych dużych ksiązkach się mieści, w których oglądałem z mamą obrazki. Mama zawsze nam mówiła, że jak będziemy bardzo grzeczni, posłuszni, kochający się wzajemnie, jak będziemy się bawić cicho i bez hałasu, to już niezadługo zaczniemy poznawać literki, następnie czytać, pisać i wiele pożytecznych i ciekawych rzeczy się uczyć.

W czasie długich wieczorów tēj zimy bawiliśmy się z Zosią, układając z ziarenek fasoli i grochu niezgrabne litery, na wzór tych, jakie znajdowaliśmy w ksiązkach z obrazkami, wyszukując takie, które się nam więcej podobały. Pytając mamy o ich właściwe znaczenie, każdą z tych liter nazywaliśmy po swojemu i tak nieznacznie, bez żadnego trudu dla nas i dla mamy, nauczyliśmy się układać zgłoski, wyrazy, rozumieć je, a więc jednocześnie nauka czytania i pisanie przyszła nam z łatwością. Nadeszła wiosna, zmieniliśmy nasze rozkoszne mieszkanie na inne, położone w samym środku miasta, na rogu ulicy Zielonėj i placu Targowego; tam już nie było trawy, drzew naszych i ogródka, to też codziennie wychodziliśmy z mamą na dalsze przechadzki za miasto, poznając coraz więcej okolice i gmach prawie każdy starego grodu.

Jakże wspaniale przedstawia się Lublin z Bronowic, tak się nazywa folwark położony pod miastem od strony przedmieścia Piasków. Na wzgórzu ponad Bystrzycą, co wązką wstęgą wije się wśród zielonych, rozległych łąk, wznosi się, strzelając w górę wieżycami kościołów i imponującą ma-

jestatem zamku królewskiego budową, gród stary, owiany wspomnień szeregim. W owym zamku, co na prawo sterczy na górze, przemieszkiwali synowie Kazimierza Jagiellończyka z mistrzem swoim Długoszem i matką Zofią. Kazimierz Jagiellończyk bardzo lubił to miasto i często na zamku po parę dni przebywał. Zamek ten zbudowany jest w kształcie czworokątu, mieści się w nim kaplica Ś-tėj Trójcy, założona przez Władysława Jagiełłę po zwycięskiej bitwie pod Grünwaldem. Zamek jest koloru cegły w kwadratowe płyty, dziś mieści się tam więzienie... smutna zmiana! Nad wejściem znajdował się napis: „Nie miejsce zdobi człowieka, ale człowiek miejsce”.

Góra, na której się wznosi zamek, zamkową się zowie, a u podnóża leżąca część żydowska miasta „Podzamczem”. Do najwspanialszych kościołów należy katedra, przez Bernarda Maciejowskiego założona 1582 r. wraz z klasztorem OO. Jezuitów. Gmach ten się wspiera na sześciu doryckich kolumnach, dwiema wysokimi wieżami strzelając w górę. Wewnętrzne ściany, półkolumnami ozdobione, okryte są mistrzowskimi malowidłami al fresco, przedstawiają one sceny religijne, Chryst Zbawiciela, stawienie Chrystusa przed Herodem i inne.

Wielkie na mnie wrażenie wywarła wspaniała zakrystya, zbudowana tak kunsztownie według prawideł akustyki, że to, co się cichutko mówi w jednym rogu ogromnej sali, w drugim, przyłożwszy ucho do ściany, dobrze jest słyszane. Po za tą salą znajduje się druga sala obrad i zebrań Jezuickich: ogromny stół czerwonym sukniem nakryty, na nim krzyż, dokoła dwanaście stołków z czerwonym pokryciem, na ścianach portrety poważnych mężów... zawsze mnie dreszcz przejmował, gdy byłem w tēj sali, zdawało mi się, że widzę szanowne Ojców postacie, zgromadzone przy tym stole, co ich przeżyć potrafił...

(D. c. n.).

## MAŁY HRABIA,

przez Duię,

przeład z angielskiego.

Mały hrabia i wzrostem i wiekiem był rzeczywiście mały, lecz mógł być także i wielkim nazwanym, ze względu na ogromne swe majątki i bogactwa. Miał on zaledwie miesiąc, gdy ojciec jego zakończył życie, a wpół roku później złożono i matkę do ciemnego grobu, gdzie pełno już było trumien, obitych aksamitem i złotem ozdobami. Grób to był wspaniały i obszerny, lecz taki zi-



mny i ponury, że gdy tam wprowadzono hrabiego, żeby drobną rączką złożył kwiaty na trumnach zmarłych rodziców, długo w noc potem usnąć nie mógł, pod wrażeniem smutku, jaki wyniósł z tego podziemia.

Mały hrabia nazywał się Hubert Hugo Lupus Alfred Beaudesert i był hrabią Avilien, ale babka, krewni i stara piastunka zwali go Bertusiem. Miał on dziewiąty rok owego lata, gdy mu się przytrafiła przygoda, którą wam chcemy opowiedzieć i wyglądał na małe dziecko; szczupły, niewielkiego wzrostu, twarzyczkę miał świeżą i ładną, jak kwiatek, oczy duże, niebieskie i jasne, bujne włosy, spadające na ramiona.

Wszyscy w domu obchodzili się z nim, jak z lalczką porcelanową, którą lada dotknięcie stłuc mogło. Babka i wuj się nim opiekowali; oboje byli słabego zdrowia, a wuj był księdzem, bardzo więc cicho i spokojnie czas spędzili w obszernym zamku Avilien i krótki żywot małego hrabiego nie był wcale podobny do tego, jaki wiodą zwykle chłopczyki jego wieku. I on także spokojny był i cichy, bo mu na niczem nie zbywało, miał wszystko, czego tylko zapragnął, a otaczano go tak nadzwyczajną troskliwością, jak gdyby był jaką rzadką zamorską roślinką, lub kosztowną a kruchą porcelanową figurką, a nie dzielnym chłopaczkiem, z krwi i kości złożonym. Możecie sobie wyobrazić, jak uciążliwe i nudne były dla niego te zbyteczne starania.

Ośmioletni ten hrabia był głową swojego domu i jedynym spadkobiercą zaszczytów i bogactw znakomitego rodu, bardzo wiele zależało na utrzymaniu życia i zdrowia tój wątłej latorośli. Za daleko jednak posuwano tę pieczołowitość, chłopczyk, nad którym nieustannie czuwano, stał się niedołężnym, nie umiał sobie dać rady w niczem, i gdyby był sam wyszedł na ulicę, wpadłby niezawodnie pod koła pierwszego powozu.

Mały hrabia był słabowity, a z wiekiem coraz smutniejszy się stawał, gdyż nie mógł nigdy czynić tego, do czego każdy chłopiec ma pociąg wrodzony. Był on z natury odważny i śmiały, lecz ustawiczne przestrogi uczyniły go bojaźliwym. Roztropny i myślący chłopczyzna w ciągłej samotności nabrał też zbytnej na swoje lata powagi.

Zamek Avilien wznosił się na wzgórzu, wśród gęstych lasów, a potężne jego mury odbijały się w czystych wodach jeziora i zdawały się nurzać w świeżej zieleni najrozkoszniejszej murawy. Była to piękna, starożytna siedziba, słynna w dziejach ojczystych, pełna bogactw i przepychu; cudny krajobraz otaczał ją dokoła, a zdala słychać było hućące fale Atlantyku.

O zamku tym śpiewano w balladach ludowych,

opowiadano w dawnych legendach, któremi Debora, sędziwa piastunka, zabawiała małego hrabiego. Oprócz niej, miał on tylko dwóch towarzyszy: psa, zwanego Ralfem i białego kucyka, Royała. Babka i wuj byli zawsze smutni, chorowici, lubili milczenie i samotność; nie szczydziłiby byli klejnotów i pereł drogocennych, gdyby Bertus zapragnął ich do zabawy, ale nie przyszło im nawet na myśl, że do szczęścia dziecka potrzeba koniecznie trochę śmiechu i wesołej wrzawy, trochę swobody, gdyż bez tego życie jego będzie tak posępne, jak życie wiewiórki w klatce zamkniętej. I Bertusiowi nie przychodziło to na myśl, nie umiał on sobie zdać sprawy z tego, czego mu brakowało. Nauczyciel jego, ojciec Filip, był dobrym i mądrym człowiekiem, sędziwa Debora kochała go i pieściła, miał śliczne sukienki z aksamitu i jedwabiu, cudne zabawki sprowadzone umyślnie dla niego z Paryża, muzykantów grających na skrzypkach, różne figurki tańczące, fechtujące się, zwierzęta skaczące, ruszające się, jak żywe, teatrzyk, na którym występowali sztuczni aktorzy, okręty pływające na sadzawce, całe wojska żołnierzy różnej broni, ale nie było nikogo, kto by się cieszył z nim razem temi wszystkimi kosztownymi cackami i nudno mu było bardzo samemu.

Bawiła się z nim wprawdzie Debora, ale ona miała lat sześćdziesiąt, cierpiała na reumatyzm, i nie mogła się zbyt żwawo poruszać, nie odznaczała się też wcale wesołym usposobieniem.

— Idź sobie pobiegać i pobawić się — mówił mu nieraz ojciec Filip, odciągając go gwałtem od książki. Ale mały hrabia smutno odpowiadał:

— Nie mam z kim się bawić.

Tęsknota jego nie zwracała niczyjjej uwagi, chociaż wszyscy domowi gotowi byli całować ślady drobnych jego stopek. Mały hrabia otoczony był zbytkiem i wyszukanemi wygodami, sypiał w łóżeczku wykładaném srebrem i kością słoniową, miał najpiękniejsze zabawki, na jakie Paryż mógł się zdobyć, posiadał dobra tak rozległe, że mogłyby udzielné księstwo stanowić, co rok opiekunowie składali z jego dochodów ogromne sumy pieniężne, pomnażając na przyszłość jego bogactwa i nikomu nie śniło się nawet, aby mały hrabia nie był najszczęśliwszém dzieckiem pod słońcem.

— Dla czego obcy ludzie nazywają mnie mylordem? — zapytał dnia jednego.

— Dla tego, że nim jesteś — odrzekła Debora.

Ta odpowiedź go nie zaspokoila i zwrócił się z tém samém pytaniem do ojca Filipa.

— Moje drogie dziecko — odpowiedział nauczyciel — ten tytuł ci się rzeczywiście należy, pamiętaj zawsze, iż obowiązkiem jest twoim zachować go bez skazy.



W końcu mały hrabia tak pobladł i zmizerniał, że lekarz, który ciągle nad nim czuwał, zalecił mu zmianę powietrza i kazał zaprzestać wszelkich nauk, co zmartwiło bardzo ojca Filipa. Bertus nie tylko po łacinie, ale i po grecku czytać już zaczynał i gorliwy nauczyciel mocno nad tēm ubolewał, że uczeń jego przestanie postępować po wielkim gościńcu wiedzy. Obaj z wujem chłopczyka postanowili wykierować go na mądrego człowieka. Mały hrabia lubił się uczyć, lecz z większą jeszcze ochotą dowiadywał się, jak rosną kwiaty, dla czego ptaszki latają, gdy on nie mógł tēj sztuki dokazać, jakim sposobem pszczoła lepi plastry miodu i miód w nie składa, jak to bobry groble swoje budują. Lecz na te i tym podobne zapytania niezbyt chętnie mu odpowiadano, znajomość przyrody nie miała zwolenników w zamku Avillien.

Mały hrabia udał się na południe z babką, lekarzem, Deborą i kilkorgiem sług; zabrał też z sobą Ralfa i kucyka, bez nich nie chciał się z miejsca ruszyć. Wsiedli wszyscy na piękny statek spacerowy; a był to także jeden z tych zbyt licznych przedmiotów, które Bertus po ojcu odziedziczył; przepłynęli wąską cieśninę i wylądowali na wyspę Wight w miejscu kąpielowém Shanklin. Mały hrabia bawił się doskonale podczas żeglugi, ale nudził wszystkich pytaniami o każdą rybę, jaką dostrzegł w wodzie.

— Ryby służą tylko do jedzenia — mówiła piastunka, a babka dodała:

— Pan Bóg je stworzył po to, ażeby w wodzie pływały, tak samo, jak ptaszki, aby latały w powietrzu.

Chłopczyk niechętnie na tēm poprzestał, ale nie mógł się niczego więcej dopytać. Jeden lekarz mógłby mu być powiedzieć coś więcej, ale nie śmiał się odezwać przy babci, która wręcz nieraz oświadczała, że nie życzy sobie wcale, aby zachęciano jój wnuka do zajmowania się podobnemi niedorzecznościami. Była bowiem tego zdania, że małego hrabięgo tego tylko uczyć należało, co było właściwem jego stanowisku, mówić mu o obowiązkach społecznych, obywatelskich, zresztą nie go nie powinno było obchodzić. Zapominała o tēm, że to był mały, wątły, blady chłopczyzna, że czoło jego, złocistemi puklami ocienione, z trudnością dźwigało nieraz ciężar historii Ksenofonta i Liviusza, a duże oczki ciemnoszafirowe, podobne do zwilżonych rosą fiołków, tak ciekawie na świat Boży spoglądały! Rączki miał chude i drobne, a nóżki jego, obute w czerwone jedwabne pończoszki i okryte krótkimi aksamitnymi majteczkami, cienkie były, jak patyczki. Przechodnie, patrząc na niego, mówili po cichu między sobą, że pomimo bogactw swoich, niedługo pewnie pożyje.

Mały hrabia usłyszał raz te słowa, zrozumiał ich znaczenie i pomyślał sobie:

— Jabym chętnie poszedł na tamten świat, gdybym tylko mógł zabrać z sobą Ralfa. Możebym tam miał się z kim bawić.

Było to w Maju, niewiele jeszcze osób przybyło do Shanklinu, a jednak spora gromadka dziatwy uwijała się po morskiem wybrzeżu, i Bertus mógłby był bawić się z niemi, ale babka znajdowała, że to dla niego niestosowne towarzystwo i biedny mały hrabia, dźwigając ciężar swój wielkości, musiał się przechadzać samotnie, aż do znużenia wątplych nówek w czerwonych pończochach. Słyszał też nieraz, jak wesołe chłopczyki i dziewczynki powtarzali, spoglądając na niego:

— To ten mały lord taki bogaty, co ma swój własny okręt.

Bertus wdychał, słuchając tych słów. Na cóż mu się zdało mieć swój okręt i tyle bogactw posiadać, kiedy nie mógł nigdy robić tego, co mu się podobało.

W tym czasie, gdy nasz Bertus bawił w Shanklinie, było to jedno z najskromniejszych i najmilszych miejsc kąpielowych w Anglii. Wyobraźcie sobie ładną wioskę, otuloną zielonym płaszczem głógów i kapryfollj, małe domki ukryte wśród bluszczów i dzikiego wina, przy nich ogródki pełne kwiatów pachnących; ścieżki wijące się po wzgórzach, lub spuszczone ku morzu, wybrzeże zasłane białym, miękkim piaskiem, który dwa razy na dzień pieszczą morskie fale. Z jednej strony czernieją skały wyniosłe, a w oddali, gdzie oko dosięgnie, szarzeje niezmiernie przestrzeń wodna. Wśród skał otwiera się głęboka szczelina, wesoły strumyk z niej wytryska, a brzegi jego ocienione są drzewami i krzakami, w których setki ptasząt gniazda sobie uściela. Cicha to była i spokojna wioska. Kiedyniekiedy okręt wojenny lub kupiecki ukazał się zdaleka na morzu, ciężki wóz folwarczny zaturkotał na drodze, a czasem powóz, przewożący podróżnych, zatrzymał się przed starą gospodą. Miło tam było, świeżo, zielono. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze szmer fal leniwych, uderzających o brzegi, i czuję zapach róż dzikich, że widzę duże, ciemne oczy pięknego, ulubionego mego pieska, który wypływa zdyszany z wody.

Niestety! nigdy już więcej nie obaczę tego wszystkiego. Pies mój nie żyje, po polach niegdyś tak cichych pędzą hałaśliwe lokomotywy, przed niemi padły żywoploty i zielone gaje, a na wybrzeżu snują się strojne tłumy, huczna muzyka i odgłosy bezmyślnych śmiechów zagłuszają szmer fali. Wszystko się tak zmieniło od lat dwudziestu! a gdy upłynie jeszcze ze dwadzieścia, gdy wy



dorośnięcie. w cóż się ten świat zamieni? Ha! ludzie to nazywają postępem.

Ale wróćmy do małego hrabiego. Shanklin był jeszcze owém miłym i cichém ustroniem, gdy on tam przebywał, skowronki i słowiki świegotały nad brzegami strumyka, woń kwiatów przepęlniała powietrze, a nasz chłopczyną, uwolniony od nauk, bawił się na dworze w czasie pogody, a gdy deszcz padał, powracał do zabawek, o książkach nie było mowy. W życiu jego jednakże nie zaszła żadna zmiana; gdy jechał konno, Jakób mu towarzyszył, gdy wychodził pieszo na przechadzkę, Debora wlokła się za nim, gdy się kąpał, miał przy sobie Williama, a nawet w ogrodzie, tuż przy domu, babka nad nim czuwała nieustannie.

Nigdy go nie zostawiano bez dozoru, a on tak pragnął swobody, choćby na jedną chwilkę! Nie miał żadnego towarzystwa i z westchnieniem spoglądał na dzieci obce, którym nie wolno było zbliżyć się do niego, jak budowały zamki z piasku, lub czółenka puszczały na wodę. Byłby chętnie oddał piękny swój okręt z całą załogą, żeby mógł być na miejscu którego z tych szczęśliwych chłopczyków.

Czasem przejeżdżał się tym wspaniałym okrętem, a gdy powracał, kapitan zbliżał się do niego z głową odkrytą i pytał, czy doznał przyjemności podczas żeglugi, ale on żadnej przyjemności nie doznawał. William i Debora nie odstępowali go na krok i co chwila powtarzali, ażeby tego nie robił, a owego się wystrzeżał, i biedny mały hrabia tak tém był znudzony, że byłby chętnie zamienił wytworny strój swój marynarski, biały ze złotymi guzikami, na najuboższą odzież, byle choć trochę swobody pozyskać. Bo chłopak był z natury ciekawy i śmiały, a chociaż usposobienie miał ciche i łagodne, czuł w sobie siłę i przedsiębiorczość, to też niecierpliwiło go to strasznie, że był ciągle za małe dziecko uważany.

Ósma rocznica jego urodzin przypadała w Czerwcu, dostał śliczne i kosztowne rzeczy na wiano, ale i to go nie cieszyło. Cukierków jeść mu nie było wolno, pięknie oprawne książki wydawały się bardzo niemądre pracowitemu uczniowi, który czytał już Liwiusza w oryginale; nie dbał o zabawki, ani o pudełko z toaletowemi przyborami, oprawnemi w złoto, które mu babka darowała; miał już podobne srebrne, a nie wolno mu było nawet uczesać się samemu.

— Jeżeli nie mogę jeść cukierków, czy nie mógłbym ich posłać dzieciom, które się nad morzem bawią? — zapytał babki.

— Niemożna, mój drogi — odpowiedziała — nie wiemy, co to za jedni.

— A czy nie mógłbym ich oddać biednym dzieciom? — zapytał chłopczyną.

— Toby było nierozsądnie, to jest zbyt, do którego ich przyzwyczajając nie trzeba.

Bertus westchnął, życie jego w tę ósmą rocznicę jego urodzin wydawało mu się nudne i nieznośne.

— Dla czego ludzie nie znają się pomiędzy sobą? dla czego wszyscy nie mówią ze wszystkimi? — zapytał nareszcie w rozpaczy — S-ty Paweł powiada, żeśmy wszyscy braćmi, a S-ty Franciszek...

— Moje drogie dziecko, nie mów takich rzeczy! — zawołała lady Awillien. — Nie rozumiesz tego, a dzieci nie powinny rozprawiać o tém, czego nie rozumieją.

Zamilkł młody hrabia, ale był smutny i zniechęcony. Oparł główkę o szybę i spoglądał na zielone brzegi kotliny, wśród której płynął strumyk. Deszcz padał i nie wolno mu było wychodzić.

— Na cóż mi się zdało być wielkim panem, i co mi po tém, że mi się ludzie kłaniają, i wszyscy mówią, że jestem taki bogaty, jeżeli nigdy, nigdy nie mogę zrobić tego, co mi się podoba? Wiem, że jestem dzieckiem, ale jeżeli mogę, pomimo tego, być hrabią, powinienem mieć prawo choć raz to zrobić, co chcę. Bo pocóż mi powtarzają, że jestem tu panem i właścicielem wszystkiego?

Różne marzenia snuły się po jego dziecinnęj głowie, budziły się w niej wspomnienia wypadków historycznych. Przypomniawszy sobie młodziuchnych synów Edwarda 1-go, uwięzionych w wieży Londyńskiej. Może i on był więźniem. Wszak wyraźnie go strzeżono i pozbawiano swobody.

— Powiedz mi, Deboro, — rzekł — zatrzymując piastunkę, gdy ta, położywszy go do łóżeczka, chciała odejść — prawda, że chociaż wszyscy jesteście tak dobrzy dla mnie, jestem w więzieniu, i ktoś chce mi tron odebrać?

Debora przeleżała się i sądziła, że miał gorączkę, pobiegła po doktora, przyniosła chłodzący napój, i całą noc przy nim siedziała, nie mogąc się uspokoić, chociaż widziała, że spał doskonale.

Bertus już o nic nie pytał, ale był teraz przekonany, że go trzymano w więzieniu, z honorami należnemi jego stanowisku.

Kiedy wśród nocy się przebudził, świetna myśl zabłysła w jego głowie, powiedział sobie, że mógłby przecież uciec i rozpatrzyć się trochę po świecie. Nie jedno dziecko uległo podobnej zachciance. S-ta Teresa, malutką jeszcze będąc, uciekła tak z młodszym braciszkiem, i błąkała się wśród ciemnych i niedostępnych gór. Im więcej mały hrabia nad tém rozmyślał, tém więcej się utwier-



dział w przekonaniu, że był więźniem, i że powinien odszukać i zdobyć wydarte królestwo tak, jak to czynili ulubieni jego rycerze, o których czytał w powieściach i legendach. Pragnienie swobody, przygód nadzwyczajnych, chęć wykrycia prawdy, tak nim zawładnęły, że gdy pierwszy brzask jutrzeńki się ukazał, opuścił łóżeczko i postanowił w świat się puścić. Chciałby był zabrać z sobą Ralfa, ale pomyślał, że nie miał prawa tego czynić; któż mógł przewidzieć, na jakie niebezpieczeństwa i trudy miał być narażony? byłoby samolubstwem wystawiać na nie ulubionego psa. Rzucił więc rękawiczkę Ralfowi, kazał mu jęj pilnować i zaczął się gotować do ucieczki. Nigdy jeszcze w życiu sam się nie ubierał, to też nie sporo mu szło; nareszcie jako tako wdział na siebie ubranie i dokonał tego nie przebudziwszy Debory. Włożył kapelusik marynarski, i oknem cichutko wysunął się do ogrodu. Świtało dopiero, niebo zaledwie się rumieniło, cienie nocy i mgła zasłaniały jeszcze wszystkie przedmioty, ptaszki szebiały, przesyłając sobie dzień dobry.

(D. c. n.).

## ZAGADKA HISTORYCZNA.

### Z nagrodą

Był mąż rycerskiego ducha, słynny i dzielny wojownik. Od młodości aż do sędziwego wieku nie przestał walczyć w obronie ojczyzny, historycy obliczyli ściśle wszystkie bitwy, w których występował czynnie. Miał też w rodzinie swojej, w najbliższych krewnych, wzory niepospolitego bohaterstwa. Dla odróżnienia go od innych znakomitych mężów tegoż samego rodu, dodają powszechnie do jego nazwiska przydomek, utworzony z wyrazów łacińskich, które często powtarzał.

Pobierał nauki początkowe w szkołach krajowych, następnie kształcił się, wedle ówczesnego zwyczaju, w najsłynniejszych akademiach zagranicznych i odbywał podróże naukowe. W smutnej chwili powrócił do kraju, zastał bowiem wojnę domową i po raz pierwszy wystąpił na polu bitwy w tej bratobójczej walce. Stał on wraz z blizkimi sobie po stronie króla, którego łaskę tém zaskarbił odrazu i ciągle odtąd darzony dostojenstwem, do wielkiego doszedł znaczenia w kraju.

Były to czasy niespokojne, wojny następowały jedne po drugich z rozmaitymi sąsiadami; on we wszystkich czynny brał udział i niepospolitej namiętności w sztuce wojennej. Ponościł czasem i kłeski, lecz zawsze z nich wychodził z honorem, a że był sprawiedliwy, choć surowy, więc wojsko go uwielbiało i nie sprzeniewierzyło mu się nigdy.

Po ukończeniu owęj wojny domowej, dopomagał do osadzenia prawego władcy na tronie sąsiedniego państwa. Potém znów w innęj wojnie położył wielkie zasługi przy oblężeniu i zdobyciu wielkiej twierdzy, której poddanie o zwycięztwie stanowiło. Następnie należał do wyprawy niefortunnej, przez pokrewnego sobie rycerza przedsięwziętej, wielką tam poniósł kłeskę, uważany był za zaginionego.

Przez lat kilka tylko w czasie pokoju odpoczywał na łonie kochającej rodziny. Gdy jednak znów wojna wybuchła, wyruszył niezwłocznie w pole i dzielnie się sprawił, niespodzianie napadł nieprzyjaciela, który już tryumfował i odebrał mu owoce zwycięztwa.

I znowu wojował prawie nieustannie przez czas długi w przeróżnych potrzebach kraju. Osiwiał na polu chwały i zapragnął spoczynku; złożył broń i postanowił powrócić do zagrody rodzinnej, lecz po drodze spotkała go wróżba nowych dostojenstw wojskowych, które go też nie ominęły. Sędziwy bohater musiał znowu wyjąć miecz z pochwy i objąć dowództwo nad wojskiem, a nie złożył go aż do późnej bardzo starości. Różnie mu się wiodło: raz gromił nieprzyjaciół, to znowu kłeski ponosił, a zawsze z nieustraszoną odwagą i poświęceniem służył ojczyźnie.

Przez dziwny zbieg wypadków i ostatnie wystąpienie jego na polu bitwy, tak samo, jak pierwsze, wypadło w czasie wojny domowej. Dwa lata tylko przed śmiercią zasłużonego używał spokoju.

(Kto nadesłe najlepsze rozwiązanie powyższej zagadki, otrzyma w nagrodę książkę pod tytułem: *Pamiętki starego szlachcica, według pierwotnego ułożone dla młodzieży przez Jerzego Laskarysa*. Rozwiązanie będzie wydrukowane,

Przypominamy raz jeszcze czytelnikom, że dla otrzymania nagrody nie dość jest nazwisko odgadnąć, ale potrzeba napisać obszerne i dokładne rozwiązanie, zasługujące na wydrukowanie. Pozostawiamy na to pięć tygodni czasu).

### Lamigłówwka głoskowa.

(Od Nat. O. dla Hel. B.).

Chmrm cmnm kszc s nrzcł  
Wtr zwn sw dzk psnk zncl  
zmć snźst lbrzm tmn  
T wzns t csk jk wlkn wzbrn

zwn drzn szdł źbrk bg  
dzn w łchmn n szcdł bz ng  
N prsch m tlk pśkł krzż złt  
Ngrd wjskwj zślg cnt.

Dodać brakujące samogłoski, aby utworzyć dwie strofki wiersza, drukowanego w *Wieczorach Rodzinnych*.



### Zagadka:

Co to za stworzenie, w morzu zamieszkałe,  
A tak samo zwane, jak żeglarze owi,  
Którzy ztąd zdobyli wiekopomną sławę,  
Że płynęli runo odbierać smokowi?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

#### Niteczki Aryadny.

Krążąc pod jasnym obłokiem,  
W szybkim nieścigniony locie,  
Orzeł przenikliwym wzrokiem  
Postrzegł brzydką żabę w błocie:  
Jakiż, rzecze, gust tej żaby,  
Jaka nikczemność jej duszy!  
Jakież mieć może powaby,  
Nurzać się w błocie po uszy?....

Bajka „Orzeł i Żaba“.

J. U. Niemcewicz.

#### Łamigłówni głoskowej:

Mądry Polak po szkodzie.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

Tadziowi F. w Rososzu. Liścik tak piękną kaligrafią pisany odczytaliśmy z wielką przyjemnością. Panu profesorowi wdzięczni jesteśmy, że uczniów do czytania Pisma naszego zachęca. Łamigłówna bardzo dobrze ułożona i nicbyśmy jej nie mieli do zarzucenia, gdyby nazwisko, utworzone z głosek początkowych i końcowych, stosowniej było wybrane. Nie wszyscy czytelnicy naszego Pisma wiedzą o znakomitych cudzoziemcach, którzy się tylko w polityce wstawili, dla tego staramy się podawać przeważnie nazwiska znakomitości narodowych, a z cudzoziemców tylko nazwiska bardzo sławne w historii, nauce, lub sztuce. Prosimy więc o inną łamigłównę

Panu Woch-Heleni w Rososzu. Łamigłównę wydrukujemy niezadługo, zmieniając tylko tytuł, gdyż *anagramami* nazywają zwykle wyraz, w którym litery są tylko przestawione, takie zaś noszą nazwę *metagramów*. Omyłki w łamigłównie z N-ru 5 spostrzegliśmy i sami, ale za późno. Będziemy nadal uważniejsi.

Bronisiovi D. Rozwiązanie łamigłówni trafne, co tém bardziej na pochwałę zasługuje, że było w niej parę omyłek niedopatrzonych.

Karolkowi R. przy ulicy Jerozolimskiej. Łamigłówna jest bardzo dobra i chętnie ją wydrukujemy.

Pmni M. M. w Mitawie. Księżniczka Katarzyna rozpoczęta była w 1-m N-rze Stycznim z r. 1882. Nie możemy więc dodawać bezpłatnie nowym prenumeratom całego półrocza Pisma. Dodatki nie odstępują się osobno.

Helenie S. w Czeczulicach. Nie przypominamy sobie, abyśmy otrzymali w Czerwcu liścik i pozostawili go bez

odpowiedzi. Ale jeśli się to wydarzyło, przepraszamy szczerze i obiecujemy poprawę. Liściki kochanych naszych czytelników, zwłaszcza tak ładną kaligrafią pisane, nigdy nie są natrętne, przeciwnie wielką nam sprawiają przyjemność i bardzo prosimy, aby następny był dłuższy.

Pani E. Bukowińskiej w Śwęcicach. Nie możemy odsyłać zagubionych N-rów osobom, które nie w naszej redakcyi prenumerują Pismo. Należy się zwrócić do księgarza pośredniczącego. Dodatków osobno nie możemy odstępować, zesłorocznych już nie mamy wcale, tylko przy całych kompletach.

Adasiowi Kr. w Zakopanem. Cieszymy się niezmiernie, że Pismo nasze z taką przyjemnością jest czytane w tém pięknym górskim ustroniu. Podróżnicy naokoło świata już wędrówki swoje szczęśliwie ukończyli, a ponieważ przegody ich tak zajmowały wszystkich kochanych czytelników naszych, więc niezadługo rozpoczniemy inną podróż równie ciekawą. Kazio bardzo dziękuje za pamięć o nim i upewnia, że wolałby siedzieć w Zakopanem nawet i zimą, i na halne wichry się narażać, aniżeli zbijać bruki warszawskie. Co do greki i łaciny, podziela zupełnie zdanie w liściku wyrażone. Kazio, który zna wszystkich przewodników zakopańskich, zmartwił się bardzo smutną wiadomością o Wojtku Gewoncie. Zapowiedź drugiego listu i nas i Kazia bardzo ucieszyła; prosimy o szczegółowe wiadomości z Zakopanego, bo radziłybyśmy je wydrukować w *Wieczorach*.

Lodzi Ch. w Warszawie. Łamigłówna trafnie odgadnięta. Dziękujemy za miłą dla nas wiadomość, że nasze Pismo z takim zajęciem jest czytane i niecierpliwie oczekiwane. Przygotowujemy dla kochanych naszych czytelników inną podróż zajmującą, którą niezadługo rozpoczniemy.

Pani Stanisławie Lub. w Szemetowszczyźnie. *Echo muzyczne* przestało wychodzić rs. 1 pozostaje u nas do dalszego rozporządzenia.

Pani Konop. w Kołkach. Książeczka *Promyka* wysłana, ale nie razem z *Wieczorami*, bo to jest niemożliwe, tylko osobno. Kosztuje kop. 20, a więc kop. 5 i drugie 5 zapewne na Szpital Dziecinny załączone, poszły na przesyłkę.

Maryli Bieńkowskiej w Kamieńcu Podolskim. W liście poprzednim, który zachowaliśmy, przysłane było na *Wieczory* rs. 5 kop. 10. Na *malarstwo przez natryskiwanie* rs. 2 kop. 20 zatem razem wszystkiego rs. 7 kop. 30. Za książkę przeto (*Szlachetne Marzenia*) którą wysłano wraz z *Malarstwem* należeć się będzie księgarni pana Orgelbranda dopłata, o którą się upomnieć miano przy przesyłce wysłanej ztąd dnia 11 Stycznia, jak to wskazuje kwit pocztowy. Należy się upomnieć o wszystko na pocztę w Kamieńcu Podolskim, a gdyby nie doszła jeszcze, prosimy o powiadomienie, aby tutaj czynić poszukiwania.

### Ogłoszenie.

Biblioteka matematyczno - fizyczna wydawana przez Maryana Baranieckiego z zapomogi kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego.

Serya I. Tomy II i III.

Wiadomości początkowe z fizyki S. Kramsztyka.

Kartonowane 103 drzeworyty. Cena części I kop. 30, II kop. 45.

5—4



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

## Psota Milusia.



eden pan, który nie miał dzieci, bardzo lubił małego swego pieska Milusia. Było to ładne kudłate zwierzątko, nie większe od kotka. Miluś codziennie chodził ze swoim panem na przechadzkę; a jeśli się zmęczył, to pan wsadzał go do kieszeni swego surduta,

gdzie Milusiowi byłoby bardzo wygodnie.

Pewnego razu wracał pan do domu, a po drodze wstąpił do cukierni i kupił do herbaty spory kawałek świeżej babki, którą włożył do kieszeni tużurka. Po jakimś czasie Miluś zaczął skomleć, jakby chciał powiedzieć, że jest zmęczony. Pan, zawsze czuły na głos swego ulubionego pieska, podnosi go z ziemi, umieszcza w drugiej kieszeni surduta i postępuje dalej do domu.

Wkrótce Milusia doszła miła woń świeżego ciasta. Wyścibia on łebek, aby się dowiedzieć, co tak pięknie pachnie. Spozstrzega wystający z kieszeni kawałek papieru, zbliża do niego swój pyszczek, przegryza papier i znajduje żółciuteckie ciasto. Natychmiast chwytając kawałek ciasta małym swym pyszczkiem i chowa się znów w swojej kieszeni, gdzie spokojnie go zjada. Pierwszy kawałek tak mu smakował, że po raz drugi wyścibia łebek i poraz drugi chwytając kawałek ciasta. Powtórzył to jeszcze raz trzeci i czwarty, aż wreszcie przechodzący ludzie zaczęli się śmiać z figlów Milusia.

Śmiesznie bo też to wyglądało, jak Miluś, to wyścibiał swój łebek, wsadzał go do dru-

giej kieszeni i z kawałkiem ciasta w pyszczku niknął w swojej kryjówce. Tém bardziej było to śmieszne, że pan nic nie wiedział o psotach Milusia i dopiero śmiech przechodniów przypomniał mu, że w jednej kieszeni pomieścił ciasto, w drugiej swego pieska. Wsadza tedy prędzej rękę do kieszeni, w której było ciasto, ale oprócz ciasta znajduje tam główkę Milusia. Pan wprawdzie rozgniewał się trochę na swego ulubionego pieska, ale wreszcie dał mu pozostały kawałek ciasta, a sam zamiast smacznej babki miał do herbaty tego wieczoru tylko zwyczajną bułeczkę.

*Henryk Wernic.*

## ZABAWKA.

Rysunek przedstawia zabawkę, którą każde dziecko może sobie urządzić z ołowianego zwyczajnego kawalerzysty, zwłaszcza, gdy się przypadkiem podstawa oderwie od nóg konia, bo psuć zabawek na umyśle nie nigdy nie potrze-



ba. Otóż, gdy będziecie mieli takiego blaszanego konia, galopującego z dzielnym jeźdźcem, weźcie giętki drucik, jeden koniec wbijcie konikowi w brzuch, bolec go przecież nie będzie, a wygiąwszy drucik tak, jak na obrasku, osadźcie na drugim końcu ołowianą ciężką kulkę. Gdy ustawicie konika tylnymi nóżkami na samym końcu stołu, w taki sposób, aby kulka była pod stołem, z pewnością nie spadnie, bo środek ciężkości będzie w tej kulce i to go w równowadze utrzyma.



## ROZTROPNY SŁOŃ.

Malarz słonia malując z trąbą podniesioną,  
Ażeby go utrzymać w tej trudnej postawie,  
Kazał, by mu pomarańcz co chwila rzucono.  
Słoń się ochoczo poddał miłej tej zabawie,  
Wznosił trąbę posłusznie, chwytając łakotki,  
Aż zaczęto udawać nareszcie ciskanie,  
Zatrzymując podstępnie w ręce owoc słodki,  
Więc słoń trąbę podniesie i nic nie dostanie.  
W prędcie rzecz zrozumiawszy, słoń wziął

[w trąbę wody

I wylał ją na papier chytrego malarza,  
Jakby rzekł: Psuję twą pracę, ty, człowieku  
[młody,

Ażeby cię nauczyć, że gdy ci się zdarza  
Z rozsądnymi mieć sprawę, to bądź z nimi  
[szczery;

Na podstępach źle czasem wychodzą prze-  
[chery. *Azet.*

### Wujaszek i jego siostrzeńcy.

— Ponieważ się trochę potłukłem i ruszać się z pokoju nie mogę, to bawciez mię, moi siostrzeńcy, bo wiecie, że to jest obowiązek bawić chorych krewnych.

Tak mówił mały Wujaszek Tadzio, a siostrzeńcy usłuchali go natychmiast.

— Jakże mamy bawić wujaszka? — zapytał Bińcio uprzejmie.

— Może czytać jaką książkę? Albo mówić wierszyki? Albo opowiadać powiastki, któreśmy z Mamą czytali?

— Dajcież mi pokój z takimi głupstwami — odrzekł wujaszek Tadzio. — Oto tak mię bawcie: ja siądę na tym dywaniku, a wy wszyscy troje weźcie za drugi koniec dywanika i tak woźcie mię po śliskiej posadzce, jak na saniach.

Siostrzeńcom jakoś się nie zdawało, żeby taka zabawa była stosowną dla chorego, ale Wujaszek po swojemu tak na nich z góry powstał, tak krzyknął, że mu są winni posłuszeństwo i uszanowanie, że posłuszne dzieci aż się zawstydzili swojej niegrzeczności i zaczęły natychmiast wozić Wujaszka. Szło to jakiś czas bardzo dobrze, aż nagle Wujaszek wrzasnął przeraźliwie, bo najechał na ogromną zadrę w podłodze, która nawet przez dywanik go skaleczyła...

Dzieci z początku się zlekły, nie wiedząc

czego Wujaszek krzyczy, ale gdy zrozumiały co się stało, zaczęły się tak śmiać, jakby już żadnego uszanowania dla swego Wujaszka nie miały. Tem ardziej też przekonały się, że kto sam rozsądku nie ma, drugim rozkazywać nie powinien.

## MAŁA GOSPOSIA.

Mała Kasia niezmiernie lubiła gospodarować. Nic jęj tak nie bawiło jak przyrządzanie podwieczorku w małych naczynkach, a miała śliczne gospodarstwo porcelanowe, filiżaneczki, talerzyki, salatereczki. Ile razy zasłużyła na nagrodę, Mama dawała jęj różnych przysmaczków, rodzynek, migdałów, owoców smażonych w cukrze; Kasia nigdy sama tego nie zjadała, ale zaraz urządzała podwieczorek i zapraszała młodszą siostrzyczkę Andzię, a czasem i inne dzieci znajome. Największą w tém miała przyjemność, żeby drugich uczęstować.

Lubiła także karmić zwierzątka, miała karnarka i sama mu codziennie dawała ziarenek i świeżej wody, prosiła Mamy, by jęj pozwoliła dawać jeść kurkom, a łabędziom, pływającym po stawie, nosiła codziennie bułeczki. Roztropne te ptaki znały tak dobrze Kasię, że jak tylko się zbliżyła do stawu, zaraz podpływały do brzegu i wyciągały do nięj dzióbki. Bawiło to bardzo malutką Andzię, bo i ona zwykle chodziła z siostrzyczką karmić łabędzie, a Mama mówiła.

— Uczcie się, moje dzieci, pamiętać o każdym stworzeniu. Każda dziewczynka powinna się do tego przyzwyczajać od dzieciństwa, a jak urośnie będzie dobrą gospodynią.

### Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

(Dalszy ciąg.)

— A z czegoż? — pytała Mama — woda na całej ziemi, ta, co płynie w rzekach i zlewa się w jeziora i ogromne morza, zawsze tylko z deszczu pochodzi. Po stworzeniu świata, jak wiemy z pisma Św. Pan Bóg od-



dzielił wody od lądów. To znaczy, że na ziemi porobiły się góry i doliny, bo inaczej, gdyby ziemia była zupełnie gładka, wodaby ją zalała zupełnie i nie byłoby suchego lądu.

— O, Mamo, a gdziebyśmy mieszkali? — zawołała Zosia przestraszona — a toż chyba wtenczas trzebaby mieszkać ciągle na okrętach.

— Musieliby ludzie arkę budować, jak Noe w czasie potopu — rzekł Adaś, który pamiętał dobrze historią biblijną.

— Pan Bog urządził to wszystko inaczej — powiedziała Mama — więc lądy podniosły się wysoko, a na tej suchej ziemi powyrastały drzewa i zioła, zwierzęta je zaludniły i ludziom jest dobrze i wygodnie.

— Ale dla czego Mamunia mówiła — za pytał Adaś — że ta wszstka woda. i w rzekach, i w morzu, jest z deszczów? jakże to być może?

— Czyż nie wiesz, że woda zawsze wysycha? Nawet i w sadzawce naszej, w ogrodzie, zawsze opadała, jeżeli długo deszczu nie było. Ta woda, co wysycha, ulatuje w powietrze, do chmur, a potem na powrót spada z deszczkiem i zwykle, gdy dłuższe są sloty, woda w rzekach i stawach przybiera, a czasem i z brzegów wyiewa. Rzeki niosą tę wodę do morza i ono także tym sposobem nie wysycha.

— Ja jeszcze nie mogę zrozumieć, moja Mamo, co to takiego jest wyspa — mówił Adaś — bo jeżeli morze to jest jama, to wyspa chyba....

— Góra — dokończyła Mama — ogromna góra, co tak od dna morskiego się podnosi i sterczy ponad powierzchnią wody.

Na tém zakończyła Mama rozmowę, powierzyła dzieci przeciwemu majtkowi, który je tak lubił, i sama odeszła do sypialnego pokoju, czyli do kajuty, ażeby poskładać trochę rzeczy i przygotować ubranie stosowne dla siebie i dzieci, bo chciała z niemi wysiąść trochę na ląd. Adaś i Zosia siedzieli spokojnie na wielkim zwoju grubych sznurów i patrzali z wielkiem upodobaniem na brzeg, na śliczne drzewa palmowe, a teraz już wiadać było wszystko doskonale. Majtek powiedział im, że okręt zaraz się zatrzyma, bo do samego brzegu nie może podpłynąć, tam jest bardzo płytko

Ażeby okręt nie mógł się poruszyć i stał spokojnie w porcie, niedaleko od brzegu, że-

glarze zarzucają na dno morza ogromną, ciężką kotwicę żelazną, uwiązaną łańcuchem do okrętu. Kotwica zagrzebuje się w ziemi pod wodą i trzyma okręt jak konika na lince. Dzieci zrozumiały wszystko, co do nich mówił majtek, bo już się nauczyły przez czas swój podróży po angielsku i umiały nawet zapytać o wszystko same.

Gdy tak przypatrywały się wszystkiemu, co się działo na wodzie i na brzegu wyspy, spostrzegły, jak łódka odpłynęła od lądu i wyraźnie do okrętu się zbliżała.

— Zosiu, Zosiu! — wołał Adaś — czy ty widzisz, kto tam siedzi w tej łódce? Jakiś pan w ogromnym kapeluszu i dwie kobiety z włosami. Ach! jakie one dziwne. Czarne, jak cyganki, nawet trochę czarniejsze i jeszcze ubierają się w takie długie białe suknie.

Majtek zaczął się śmiać i wytłómaczył dzieciom, że to nie są wcale kobiety. W Cejlonie wszyscy mieszkańcy tak się dziwnie ubierają w suknie białe, a do tego nie obcinają włosów i upinają na głowie długie warokcze, wyglądają więc zupełnie jak kobiety.

— A dla czegoż ten pan, co jedzie łódką, ubrany tak ładnie, w zwyczajny biały garnitur, po męsku zrobiony i w kapelusz? — pytała Zosia.

— Ależ ten pan ma twarz zupełnie białą — mówił Adaś — on pewnie nie tutejszy, on musiał tu przyjechać z Europy, może to jaki podróżnik.

Tymczasem łódka zbliżyła się zupełnie do okrętu Wiktorya, ów pan w kapeluszu przemówił coś po angielsku do majtków, spuszczone drabinkę, on wskoczył zgrabnie na pomost, a w tej samej chwili wybiegł kapitan okrętu i przywitał go z wielką serdecznością. Ten pan powiedział coś po angielsku de kapitanu, ten coś odpowiedział, dzieci nie dosłyszały tego wcale, to też ogromnie się zdziwiły, a nawet przestraszyły trochę, gdy ten obcy pan z głośnym okrzykiem poskoczył do nich, chwycił na ręce Zosię, ucałował ją, postawił na pomoście i znów porwał Adasia, i ścisnął je jedno po drugim.

— Moje dzieci! moje ukochane dzieci! — wołał ten pan po polsku i Adaś i Zosia zaczęły się już czegoś domyślać, gdy wtém nagle wbiegła Mama na pomost i z takim uniesieniem radości rzuciła się w objęcia nieznanego, że dzieci odrazu domyśliły się wszystkiego, nim jeszcze Mama zawołała:



— To wasz Tatko, to Tatko nasz kochany!

Wszyscy czworo poszli do swojej kajuty, tu Tatko opowiedział, jak nie mógł sobie rady dać z tęsknoty czekając na nich, a gdy się dowiedział, że kapitan okrętu Wiktorya miał się zatrzymać na kilka dni w Cejlonie, zaraz wybrał się naprzeciwko nich, i taką im sprawił niespodziankę.

Mama śmiała się i płakała z wielkiej radości, bo nie spodziewała się obaczyć Tatkę tak prędko, myślała, że będzie na nich czekał w mieście indyjskiem Kalkucie.

— Skoro już tu jesteśmy wszyscy razem — powiedział Tata — nie rozstaniemy się więcej ani na jedne chwile. Najpierw więc dziś zabieram was na ląd, nająłem już bardzo ładny i wygodny „bungalow“, gdzie pomieszkamy sobie przez te kilka dni, póki Wiktorya nie podniesie kotwicy, a wtenczas ruszymy do Kalkuty.

— A toż co za bungalow? — zawołała Zosia.

— Tak się nazywają wiejskie domy w Indyjach — powiedział Tatko — obaczycie, jak to ładnie wygląda. Ściany są porobione z bambusowego drzewa, podłogi wyściełane matami, plecionymi z palmowych liści.

— A co to za drzewo bambusowe? — pytał znów Adaś.

Adaś i Zosia odrazu przyłgnęli do Tatki, chociaż w pierwszej chwili wzięli go za jakiegoś obcego pana. Oboje siedzieli na jego kolanach, patrzali mn w oczy z uśmiechem, a on je pieścił i całował.

— Poczekajcie — mówił Tatko — jak wysiądziemy na ląd, pokażę wam mnóstwo ciekawych rzeczy. Na Cejlonie rosną różne osobliwe drzewa i rośliny, jest tam pełno zwierząt, jakich wy nie widzieliście nigdy w życiu. Wszystko to będziemy oglądali razem, bo muszę z wami się wybrać na dalszą wycieczkę w głąb wyspy.

— Tatuńciu, jakże to dobrze, że Tatuńciu już do nas przyjechał — wołała Zosia i podniosła się na kolanach Tatki, objęła go za szyję i pocałowała serdecznie.

— Ależ to wyście do mnie przyjechali, nie ja do was — mówił Tatko rozrzewniony.

— Ba! — zawsze Tatko wyjechał kawał drogi naprzeciwko nas — odezwał się Adaś — bo Mama mówiła, że dopiero za tydzień, a może aż za dziesięć dni się zobaczymy. Teraz to mi już zupełnie wszystko jedno, kiedy

dojedziemy do tych Indyj, kiedy Tatko jest z nami.

— Wszakże ci mówiłam, że już teraz jesteśmy w Indyjach — powiedziała Mama — to morze nazywa się indyjskie i wyspa Cejlon należy do Indyj.

— Więc my już przyjechaliśmy! — wołały dzieci, klaszcząc w rączki i skacząc na kolanach Taty.

Tak byli wszyscy szczęśliwi, że o Bożym świecie zapomnieli, wtém zapukał ktoś do drzwi kajuty, Mama poszła otworzyć i wszedł chłopiec okrętowy zapytać, czy nie chcą państwo na ląd odpłynąć, bo właśnie kapitan kazał spuścić wielką łódź na morze, ażeby im było wygodniej. Tatko poszedł natychmiast podziękować grzeczemu kapitanowi, a Mama wybrała się z dziećmi i pośpieszyła z niemi na pomost.

Spuszczono drabinę z pomostu na łódź, Tatko sam dzieci poznosił i usadowił wygodnie, kilku majtków robiło wiosłami i w parę minut łódź przybiła do brzegu, a Adaś i Zosia z rodzicami wysiedli na ląd.

O, cóż to za przyjemna była przechadzka! Tatko niósł na rękach małą Zosię pieszczoškę, Mama wsparła się na jego ramieniu, a Adaś biegł naprzód, oglądając się co chwila i rozmawiając wesoło z rodzicami i siostrzyczką.

(D. c. n.)

### Szarada. (Gabryel T.)

Jest u nas stare przysłowie:  
Strzeż, jak *pierwszego drugiego* w głowie.  
Przyjmując gościa, gospodarz go *trzecie czwarte*.  
I drzwi dla niego są otwarte.  
*Wszystko* — w karczmie znajdziecie,  
O czém zapewne wiecie.

### Łamigłówa w kwadraciku. (G. T.)

W kwadraciku z 9 podziałek ułożyć: 4O—3K—1R—1T— aby utworzyć w obu kierunkach: 1. miara czasu 2. Część twarzy 3. Zwierzę domowe.

Rozwiązanie Łamigłówa do Nr. 8-go.

### Zegarek.

1. Janina. 2. Gryka. 3. Rawa. 4. Ewa. 5. Gama. 6. Onega. 7. Rama. 8. Osa. 9. Warta. 10. Iwa. 11. Czapla. 12. Zosia.

J. Gregorowicz.